

Tu się poluje! Zakaz wstępu do lasu

Kiedyś, w zamierzchłych czasach lat 60. i 70., istniał w polskim prawie zapis, który nakazywał opuszczenie lasu na godzinę przed zachodem słońca i zezwalał o poranku wejść do lasu dopiero godzinę po wschodzie słońca. Ten dbający o interesy myśliwskie przepis był martwym prawem, obecnym jedynie na papierze i z czasem jakoś się zdematerializował.

Teraz okazało się, że zniknął jedynie jego fizyczny zapis w jakimś monitorze prawnym – w umysłach niektórych myśliwych i osób chroniących ich interesy pozostał żywy i wyłonił się na światło dzienne w rękach funkcjonariuszy Straży Granicznej, którzy okazali go pewnemu *ekologowi od porostów*. Zapewne nieprzypadkowo – właśnie jemu.



Puszcza Białowieska. Fot. Sylwia Szczutkowska

Limitowanie dostępu do lasu

Urzędowy dokument z pieczętką i podpisem stosownego nadleśniczego z Białowieży wprowadza zakaz przebywania w lesie z powodu polowań, zwanych *zadaniami* [...] *polegającymi na regulowaniu pogłowia zwierzyny*. W piśmie wymienione są określone godziny o zmierzchu i o poranku. Nie będziemy tu zajmowali się niewidzialnymi sznurkami, za które pociąga lobby myśliwskie i przy ich pomocy wrabia w nieswoje sprawy, sympatycznych skądinąd, funkcjonariuszy Straży Granicznej. Choć byłoby to bardzo ciekawe móc prześledzić drogę tej inicjatywy od momentu, gdy zrodził się w czyjejs głowie ten pomysł, do chwili, gdy zmaterializował się on w rękach strażnika. Dla socjologa byłby to doskonały materiał do badania wpływu lobby myśliwskiego, niewidzialnego i skrycie oddziałującego na rzeczywistość.

Zajmiemy się tutaj realnymi motywacjami, które stoją za myśliwską chęcią limitowania dostępu do lasu. Bo przecież nie chodzi tu o wspomniany w piśmie powód – o sztyłą grubymi nićmi potrzebę zapewnienia bezpieczeństwa ludzi w lesie, która zresztą brzmi trochę jak groźba: *Przebywanie [w lesie – przyp. aut.] w tym czasie osób postronnych naraża je na bezpośrednie zagrożenie zdrowia a nawet życia*.

Przypomina się scena z filmu „Kiler”, gdy komisarz Ryba ostro poucza człowieka, którego przedtem postrzelił w dłoń, grożąc mu przy tym palcem: *I żeby mi się to więcej nie zdarzyło, żebyś mi włożył na linię strzału!* Szkoda, że nie jesteśmy w kinie na zabawnej komedii – to wszystko dzieje się naprawdę! Ktoś nam mówi, żebyśmy nie wchodzili do lasu, bo możemy „wleźć na linię strzału”. I niestety ma rację, tragedie związane z przypadkowym postrzeleniem zdarzają się ileś razy w roku.



Puszcza Białowieża. Fot. Sylwia Szczutkowska

Można by zapytać, jak to możliwe, skoro prawo łowieckie zajmuje się starannie i szczegółowo tą chwilą, gdy myśliwy ma broń wycelowaną w ofiarę i jest gotów zastrzelić ją ze śrutu czy kuli. Prawo to bezemocjonalny zapis – w życiu w tym momencie w grę wchodzi *niebylejakie* emocje, a gdy są one duże, zdarzyć się może wszystko. Ten specyficzny moment, absolutna kulminacja śmiertelnego spektaklu, dla większości myśliwych przepełniony jest silną adrenaliną – wszak chodzi o nieodwołalne zabranie życia, zabicie żywej istoty. To dramatyczna zmiana o ogromnej dynamice.

Wyobraźmy sobie w cichym lesie stadko jeleni czy dzików spokojnie się pożywiający i nagle... BACH!!!..., śmiertelne wierzganie, a kto pozostał żywy – w panicznej ucieczce! Trzask łamanych gałęzi i tętent ucicha, ciało trafionej ofiary rusza się coraz mniej, ostatni oddech... Cisza, z której wyłonił się ten cały zgwień, na chwilę wraca – zawsze tu jest. Powraca tylko na chwilę, bo teraz następuje ta część polowania, której nikt nie lubi. Trzeba zejść z ambony, obejrzeć przy latarce, czego się dokonało, zawinąć rękawy i zabrać się za patroszenie. Potem podjechać samochodem, władować ciało na pakę, w pusty kadłub ciała wkłada się wątrobę i serce z płucami i jedzie do skupu. Krew spływa po białym tyle samochodu na tablicę rejestracyjną.

Spróbujmy zobaczyć, co jeszcze składa się na ten spektakl. Ważnym elementem teatru śmierci, zwanego polowaniem, jest to, co dzieje się w głowach polujących, myśliwska wyobraźnia, która rosnąco kumuluje napięcie na długo przedtem, zanim zobaczy się zwierzę – zaczyna ono narastać i działać na emocje i postrzeganie już w fazie, gdy pojawia się zamiar wyjazdu „do lasu”. I od tej pory napięcie rośnie aż do rozładowania. Następnym ważnym elementem tej emocjonalnej układanki jest również to, że przyjeżdża się na polowanie z jakimś bagażem przeżyć związanych z codziennym życiem, rzadko przecież sielankowym. Częściej żyje się w stresie. Wspomnieć też trzeba o osobistych uwarunkowaniach, charakterze czy też osobowości, jakże różnej dla każdego z osobna. Można być porywczym neurotykiem lub flegmatykiem. Przy tym w różnych okresach życia jest się w różnych stanach psychicznych, niekiedy mających związek z alkoholem i innymi używkami, chorobami, lekami psychotropowymi itp.

Ważnym elementem mającym udział w stanie psychicznym myśliwego, jest pospolita w tym środowisku chciwość na „sukces myśliwski”. I wtedy może się zdarzyć, że w księżycową noc, gdzieś tam w cieniach drzew i wśród mgiełek pojawia się „wielki jak szafa odyniec”, i w końcu, gdy mająca czarna plama jest tuż, tuż przed wejściem do lasu, do którego zmierza, wystawiona przez

okienko ambony lufa pluje śmiertelnym pociskiem. I pojawia się pełna ulgi myśl: *Uff, w ostatniej chwili udało mi się strzelić, jeszcze moment, i by zniknął! Ale szafa!!!*. Lecz sto metrów od ambony leży zastrzelony żubr. Wyobraźnia, czyli nasz ludzki umysł, może wszystko. W emocjach może się zdarzyć, że widzisz nie to, co jest, lecz to, co chcesz widzieć. W tym samym okresie nieustalony sprawca śmiertelnie postrzelił w brzuch klacz. Tak było rok temu w Puszczy Białowieskiej. To nie są jakieś nadzwyczajne, odosobnione przypadki. Gdy używa się broni w takiej skali, zdarzyć się może wszystko – i zdarzyć się musi nieodwołalnie.

Miliony strzałów i tony ołowiu

Myśliwi oddają wiele milionów strzałów rocznie, a jest to jedyna grupa społeczna, która ma prawo strzelać w otwartej przestrzeni. Bywa również, że broń odpala „sama”. Niektóre z tych kul i ładunków śrutowych trafiają nie w to, w co myśliwi celują, nie w to – co chcieliby zabić. I wtedy *naprawdę* dzieją się wszystkie te rzeczy, których myśliwi bardzo by nie chcieli – giną lub ranieni są dorośli mężczyźni, kobiety, zdarza się, że również dzieci, a poranione i niedobite następnymi kulami zwierzęta dogorywają w ostępach. Gdy się oddaje miliony strzałów w lesie, nad wodą i na polu – tak być musi.

Jako ludzie, nieuchronnie jesteśmy skazani na popełnianie błędu za błędem. Myśliwi niczym się pod tym względem nie wyróżniają, również nie są w stanie ich uniknąć, a skutki pomyłek, gdy ma się do czynienia ze śmiercionośną bronią, są dramatyczne. I dla osoby, która się pomyliła, i dla osoby, która doświadczyła pomyłki. A pozostają jeszcze żony, rodzice i dzieci zarówno sprawcy, jak i ofiary, i ich cierpienie.

Dodatkowym aspektem, wcale nie marginalnym, są setki ton ołowiu rocznie wbite w glebę lub utopione w wodzie. Nie wiemy, jakie są konsekwencje tego ostatniego faktu dla zdrowia nas samych, naszych dzieci i innych istot, z którymi dzielimy życie na Ziemi. Możemy się jedynie domyślać. Lecz nie jesteśmy skazani na domysły i raczej wiemy, co się dzieje w świecie zwierząt i ptaków, gdy wkraczamy w ten świat z karabinem. Gdy sami jesteśmy myśliwym – wiemy to znacznie lepiej niż inni ludzie. Widzimy, co wystrzelona przez nas kula lub ładunek śrutowy robi z delikatnym, ranliwym ciałem zwierzęcia – z jego miękkim sercem, płucami, jelitami, kośćmi nóg i kręgosłupem. Gdy sami „wejdziemy na linię strzału”, przypadkowa kula robi nam to samo w tych samych organach.

Myśliwi z czasem, w miarę zabijania lub ranienia kolejnych zwierząt, w znacznym stopniu przestają być wrażliwi na śmierć i wstrząsające niekiedy cierpienie, które zadają. Inaczej nie byłoby w stanie robić tego, co robią. W pewien sposób, tak jak wielu z nas, *nie widzą tego, co naprawdę robią*. Lecz przy tym swoim *niewidzeniu-znieczuleniu* wiedzą jednocześnie, że wielu ludzi, którzy zobaczyliby ich, gdy strzelają do łani prowadzącej cielaka i potem ją patroszą, a białe mleko z rozciętych myśliwskim nożem grzęzów miesza się z krwią – zniehawiliby ich do końca życia. Lub gdyby zobaczyli zastrzeloną, jak najbardziej zgodnie z przepisami, i właśnie patroszoną, loszkę w ciąży. Na skutek ogromnego dokarmiania płodność dzików jest nieprzewidywalna (w Niemczech wprowadzono zakaz dokarmiania!). Jest zgodne z prawem zastrzelenie loszki – przelatka na dzień przed rozwiązaniem.

Żeńska przyroda przez prawie cały rok jest w bardziej lub mniej zaawansowanej ciąży, albo prowadzi i karmi młode. Całkiem często jedno i drugie jednocześnie. Pewna część samic pauzuje. Właśnie skończyło się wrześniowe rykowisko, limit byków do zastrzelenia jest prawie wykonany. Teraz spotęguje się zabijanie łań i cielaków i będzie trwało jeszcze przez parę miesięcy. Te łanie są w ciąży – tak jak po godach w przyrodzie być powinno. W ciąży, która z każdym tygodniem się powiększa; łanie jednocześnie często prowadzą cielaka i jeszcze długo będą go karmić mlekiem matki oraz będą nauczycielką leśnego życia. Chyba że dostaną wcześniej kulę, tak jak około 40 tysięcy innych jeleni w Polsce w czasie jednego sezonu łowieckiego.

Kwintesencja polowania

Zabijanie jest „brzydkie” – to nie jest skrzywienie palca na spuście i zgaszenie życia niczym zdmuchnięcie świeczki. Rozprute, w śmiertelnych drgawkach, ciało, z którego wypływa krew i wewnątrzności, to nie jest łatwy widok – jest w nim skrajne, ostateczne cierpienie. Żeby to ukryć, miejsca, w których się zabija, są chronione przed postronnym okiem niczym twierdze. Popatrzmy, jak z zewnątrz wyglądają rzeźnie – wszystko powinno być ukryte za wielkimi ścianami z blachy w ładnych kolorach. Do miejsc, w których testuje się na zwierzętach leki i kosmetyki, do laboratoriów, w których przeprowadza się na nich eksperymenty, mają dostęp ściśle wyselekcjonowani ludzie. Raczej nie jest i nie było w powszechnym zwyczaju, by zapraszać na wykonanie kary śmierci, a kat przedstawiany jest z kapturem na głowie. Bo gdy zabijam – lepiej, żeby mnie nikt nie widział.

Nie inaczej jest na polowaniu, wszak kwintesencją polowania jest zabijanie. A dla człowieka-myśliwego zabijającego żywą istotę lepiej jest, żeby nikt spoza jego środowiska tego nie widział. Istnieje zbyt duże ryzyko, że osoby „spoza” mogą „nie rozumieć” i widzieć „niewłaściwie”, a także mieć całkiem inny osąd. I to jest jeden z ważnych powodów, dla których myśliwi wolą być bez postronnych osób wtedy, gdy idą pozabijać w lesie. Jakie są inne powody?

Zastanówmy się nad reakcjami zwierząt na obecność człowieka w lesie. Gdy spotykamy sarnę, ta reaguje natychmiastową ucieczką. Sarna czy jeleni nie rozróżnia tego, czy widzi myśliwego czy spacerowicza – widok człowieka lub jego bezpośredni zapach niesiony wiatrem oznacza, że trzeba ratować życie. Dla wszystkich zwierząt, my, ludzie, jesteśmy śmiercionośnymi potworami. Gdy znany ekolog wędruje tu i ówdzie w poszukiwaniu porostów, czujne uszy i nosy zwierząt będących w najbliższej okolicy wykrywają jego daleką, jeszcze dla nich niezagrażającą obecność. Jeleni czy dziki, gdy wyczują, że dzieje się coś niecodziennego w ich leśnym domu – zastygają, nieruchomieją lub przemieszczają się powolutku, co i raz przystając, nasłuchując. Czasami trwa to godzinami, które dłużą się tylko obserwującemu zwierzęta człowiekowi, im – nigdy, tu chodzi o życie! Nie przekroczą ścieżki, na której jest świeży zapach śladów człowieka, długo nie wyjdą na otwartą przestrzeń łąki czy pola ze śmiercionośną amboną, która niczym nieruchoma gilotyna i kat majaczy na tle lasu.

I teraz postawmy się w sytuacji myśliwego. Czy chcielibyśmy polować na zwierzęta o takim podwyższonym poziomie czujności? Myśliwi widząc postronnego człowieka w lesie w miejscu, w którym miał zamiar zapolować, wpada w silnie pobudzony nastrój, który można nazwać „niespodziewanie zepsute polowanie”. Przez „cholernych grzybiarzy”, „jakichś kretynów na rowerach”, kogoś, kto późno wyszedł po swoje krowy na pastwisko i „musiał leżeć akurat pod amboną!”, albo innemu myśliwemu coś się pomyliło i „łazi po moim terenie i wszystko mi psuje!”. Idealna sytuacja na polowaniu to żadnych ludzi, tylko **JA** na ambonie. Cóż to za miłe marzenie, zabronić innym wejścia do lasu, gdy JA poluję.

Historyczne dziedzictwo

Odzywają się tu historyczne uwarunkowania. Kiedyś, dawno temu, gdy zwierzęta były własnością króla i arystokracji, o komfort polowań dbały odpowiednie służby łowczych i gajowych. Trochę podobnie jest teraz na terenach łowieckich Administracji Lasów Państwowych, zwanych Ośrodkami Hodowli Zwierzyny (OHZ). Terytoria leśne zarządzane są przez ALP (*król*), zwierzęta w nich są własnością skarbu państwa (*własność króla*), leśnicy zajmujący się gospodarką łowiecką i zabijaniem zwierząt wykonują zadania jako urzędnicy państwowi (*łowczy, gajowi, osocznicy*). Jak sami mówią: wykonują obowiązki służbowe, to ich praca. I żeby nikt w tej krwawej pracy im nie przeszkadzał, najlepiej jest zabronić wstępu do lasu! Tak, jak zabrania się wstępu do rzeźni.

Dlaczegoż jeszcze tak niepożądana jest w lesie obecność naszego *ekologa od porostów* albo innego spacerowicza? Szczególnie takiego, który o myślistwie coś wie. Dlatego, że taka osoba może zauważyć, iż na ńciskach pod ambonami wykładana jest marchew, buraki albo kapusta i jabłka, i jeszcze na dodatek ta osoba prezentuje przekonanie, że zapraszanie na kolację i częstowanie śmiertelną kulą – jest zwykłym draństwem. Marchew, buraki, kapusta, jabłka itp. na ńcisku oznaczają, że urządzone jest ono głównie dla saren i jeleni. A tych na ńciskach zabijać nie wolno – prawo zabrania. Albo ktoś usłyszy nocny strzał i zobaczy zwożoną, wypatroszoną łanię – prawo zabrania zabijania w nocy saren, jeleni i danieli. Albo zastanowi się nad tym, że ambony są bardzo blisko zabudowań – prawo pozwala zabijać zwierzęta 150 m od pojedynczych zabudowań i 500 m od grup zabudowań. Albo zauważy, że ambona postawiona jest bliżej niż 150 m od paśnika. Społeczność myśliwska toleruje ten stan bezprawia, ale tzw. obcy, a szczególnie *ekolog od porostów*, mogą zdać sobie sprawę, że zbiorowe łamanie prawa to bardzo szkodliwe zjawisko, powodujące ogólną, zaraźliwą erozję praworządności w całym państwie.

Ta paskudna choroba jest dobrze znana konstytucjonalistom, którzy problem erozji prawa analizują patrząc na zdrowie struktur państwowych jak i na tkankę całych społeczeństw. Lecz mamy do czynienia ze współczesnym myślistwem i jego wielką złożonością, rozpisaną w Polsce na sto tysięcy indywidualnych interesów. Te prywatne, indywidualne interesy cechują się silną motywacją, podkreślaną przez słowa „hobby” i „pasja”.

Myśliwi są w stanie wiele zrobić dla swej krwawej pasji. Ich tęsknota do komfortowego stanu bycia *Panem Lasu*, jak to bywało w bezpowrotnie minionych, feudalnych czasach, będzie wciąż żywa. Nie dziwny się zatem, że od czasu do czasu spotkamy się z jakimś dziwnym dokumentem w rękach np. Straży Granicznej lub zaskoczy nas inne kuriozum w postaci sądu nad młodym ornitologiem za przebywanie przed wieczorem w lesie. Myśliwi są wszędzie w strukturach administracyjnych i politycznych państwa, i gotowi są w każdej własnej sprawie milcząco współpracować ze sobą, dbając o swoje interesy. Wiedzą, na *każdym* stanowisku, że „koszula jest bliższa ciału”. Idą do lasu uzbrojeni w precyzyjny karabin z celownikiem optycznym – dla hobby, pasji, rozrywki.

Zenon Kruczyński

Autor książki „Farba znaczy krew”